Nr. 5. Lwów, dnia 10. Lutego 1888 r. Rok I.

# WIECZORY ZIMOWE



Pismo poświęcone powieściom, romansom, nowellom i wspomnieniom.

Prenumerata wynosi w Galicyi: Rocznie **6** złr., półrocznie **3** złr. kwartalnie **1** zł. **50** ct., miesięcz. **50** ct. Skład w księgarni Polskiej Lwów.

W Księstwie Poznańskiem: Rocznie **12** marek, półrocznie **6** marek ćwierćrocz. **3** m., miesięcz. **1** m. Skład w Poznaniu u J. Leitgebra i Ski

Wydawca: **Józef Rogosz.** — Redakcya *„Wieczorów zimowych“* **w drukarni nar. W. Manieckiego ul. Kopernika l. 7 we Lwowie.**

*„Wieczory zimowe“* **wychodzą we Lwowie trzy razy na miesiąc, a mianowicie:** każdego 1 go. 10-go i 20-go.

# W ŚMIERTELNYCH ZAPASACH

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

osnuta na tle stosunków Wielkopolskich

przez

**JÓZEFA ROGOSZA.**

(Ciąg dalszy.)

## VIII.

Dokoła pałacu w Ujściu Leśnem ruch nadzwyczajny. Przed trzema już godzinami wyjechały dwa ekwipaże na kolej. Najpierw kareta poczwórna, za nią powozik, w nim rządca. Młody hrabia został w domu, gdyż jeszcze ciągle jest osłabiony, w każdym atoli razie dziś przynajmniej o tyle mu już lepiej, że w czarnym tużurku przechadza się po dworze i wszystkiego sam dogląda. Tylko biała jedwabna chustka na szyi świadczy, że mimo skwaru lipcowego, boi się przeziębić.

W alei, między pałacem a bramą żelazną, która na oścież jest otwarta, stoją w dwóch szeregach najprzystojniejsze dziewczęta ze wsi i z okolicy. Każda z nich jest świątecznie ubrana i każda trzyma w ręku fartuszek, a w nim pełno kwiatów. Przy samej bramie widać dwunastu muzykantów z dętemi instrumentami. Wszyscy są w mundurach acz nie wojskowych i wszyscy mają na głowach hełmy mosiężne, świecące w słońcu jak złoto.

Środkiem alei ciągnie się sukno czerwone, po którem przed laty dziesięciu sam monarcha szedł do pałacu. Będąc na wielkich rewjach w okolicy, przyjął był wtedy zaproszenie na śniadanie, i w towarzystwie hr. Artura Wągrowskiego i jego syna, Leonarda, przyjechał ze swoim sztabem do Ujścia Leśnego. Od tego czasu sukno leżało w magazynie a i stary hrabia więcej tu się nie pokazał.

Dziewczęta, a jest ich razem blisko sto, uśmiechają się, robią półgłosem różne spostrzeżenia i jedne zerkają ku panom urzędnikom, tym bowiem dozór nad niemi powierzono, drugie spoglądają na bramę żelazną, za którą na drodze widać wieś całą. Na samem czele tłumów ciekawych, stoi Jasiek Żołędziak, w szpencerze z guzikami świecącemi i w czapce wojskowej. Zagląda on ciekawie do ogrodu, i wiele by dał za to, gdyby zamiast stać razem z chłopami, znajdował się teraz wewnątrz parku, choćby nawet między kuchtą a ogrodniczkiem. Lecz jakoś go nikt nie zaprasza, urzędnicy zaś, z którymi wczoraj zawarł pod kościołem znajomość i przyjaźń, nawet uwagi na niego nie zwracają. Chociaż go to wielce gniewa, nie odchodzi lecz czeka aby być świadkiem widowiska, jakiego od bytności samego króla w tych stronach dotąd nie było.

Nareszcie tłumy na drodze zaczęły poruszać się, mieszać, krzyczeć, ci na palcach stawali, tamci dzieci na rękach do góry podnosili, dziewczęta w alei zwróciły się ku bramie żelaznej, hrabia zaś domyśliwszy się, że jego ojciec nadjeżdża, stanął przed pałacem na stopniach kamiennych, zkąd widział całą aleję i bramę żelazną.

W tejże chwili pojawiły się najpierw cztery konie w srebrnej uprzęży, ze strusiemi piórami na głowach, za niemi kareta w stylu roccoco, cała od złota lśniąca. Na koźle bogato przystrojonym siedzieli stangret i kamerdyner, w tyle targańców się trzymając, stali dwaj lokaje. Strój służby składał się z wysokich kapeluszy, fraków karmazyno-

wych, białych kamizelek, poniżej pasa sięgających, takichże pantalonów obcisłych, białych pończoch jedwabnych i czarnych trzewików ze srebrnemi sprzączkami.

Zaledwie kareta przed bramą stanęła, kamerdyner z koziołka zeskoczywszy, otworzył w niej drzwiczki, które prawą ręką przytrzymywał, w lewej miał kapelusz.

Z jej wnętrza wysunęła się najpierw jedna noga i zaczęła ostrożnie stopnia szukać, potem druga — lecz gdy już obie na stopniu stanęły, szybko a niespodziewanie ukazała się cała figura hr. Artura Wągrowskiego, zupełnie jak jedna z tych figurek w skrzyneczkach schowanych, które za pociśnięciem sprężyny nagle wyskakują, zadziwiając starszych a dzieci strasząc. Hrabia dość już lekko ze stopnia na ziemię zeskoczył i swobodnie, ledwie palcami ziemi się dotykając, wszedł w aleję.

W tejże chwili dwunastu muzykantów uderzyło w trąby, flety i waltornie, dziewczęta zaś na znak dany przez urzędników zaczęły hrabiemu sypać kwiaty pod nogi.

Była to figurka niewielka, w obcisłych pantalonach, w króciutkiej marynarce pod szyją zapiętej, w okrągłym a niskim kapeluszu, na jeden bok przekrzywionym. W lewej ręce, jakby broń przy ramieniu, trzymał nie dużą, lecz dosyć grubą laskę ze złotą gałką, którą wpuścił do kieszeni marynarki, prawą dość często poprawiał sobie monokl czworograniasty, kryształowy, bez oprawy, który głęboko w skórę mu się wrzynał.

Szedł lekko w takt muzyki, i jak wrzeciono zwracał się to w prawo to w lewo, aby każdą dziewczynę spojrzeniem swojem obdarzyć. Do tej uśmiechnął się, tamtę wziął pod brodę, inną na sposób niemiecki dwoma palcami w policzek uszczypnął. Dziewczęta niby zawstydzone cofały się przed jego natarczywością, lecz zaledwie dalej przeszedł z ich spojrzeń mógł każdy radość wyczytać.

Hrabia szedł coraz wolniej, jakby żałował żywego szpaleru, który już się kończył a tymczasem muzyka grała coraz poważniej i melodyjniej, dziewczęta zaś coraz wonniejsze słały mu kwiaty pod nogi. Tak był zajęty wiejskiemi pięknościami, których tyle razem dawno już nie widział, że dotąd ani pomyślał o synu. Ten stał ciągle na stopniach przed pałacem i uśmiechając się patrzył na zbliżającego się ojca; dopiero gdy go już miał ledwie o kilka kroków przed sobą, zszedł na dół po stopniach.

Stary hrabia, oderwawszy teraz wzrok od ostatniej piękności, zwrócił się do jedynaka i w objęcia mu padając zawołał po niemiecku:

— *Mein Sohn! Mein Sohn! das ist prachtvoll! Superbe!*

Syn ojca ściskając, nic na to nie odpowiedział. Gdy się serdecznie ucałowali, wzięli się pod ramię i do pałacu weszli.

Przy objedzie, który dzięki muzyce na galerji przygrywającej trwał dość długo, mimo że go tylko we dwóch jedli, toczyła się rozmowa bardzo ożywiona. Zasługa jednak była w tem nie tyle syna co ojca. Hr. Leonard mówił niewiele, jakby z musu; przeciwnie stary hrabia ciągle coś opowiadał i ani na chwilę ust nie zamknął, bo mówił nawet wtedy gdy jadł. Gdyby kto z temperamentu był chciał ich osądzać, musiałby pierwszego wziąć za anglika lub niemca, drugiego za francuza lub przynajmniej polaka. Co do ojca, nie byłby się więc omylił, hr. Artur bowiem był polakiem po mieczu i kądzieli, lecz za to syn jego prócz polskiej krwi po ojcu, miał w swoich żyłach jedynie krew heleńsko-francuzką po matce, lecz niktby w nim nie znalazł ani kropli angielskiej, a tem mniej niemieckiej.

Mimo to ojciec mówił ciągle po niemiecku, syn zaś po francuzku. Dziwnie to zaiste brzmiało, gdy stary hrabia zapytywał w innym języku a młody w innym mu odpowiadał, wszakże im samym nie musiała taka konwersacja żadnej sprawiać przykrości, skoro jej nie zmieniali. Zdaje się, że nawyknienie główną tu rolę odgrywało Ojciec, od młodości najwcześniejszej mieszkał w Berlinie, syn zaś wychowywał się przy matce, która z mężem swoim żyjąc od samego początku na stopie obojętnej, najchętniej przebywała w Paryżu, gdzie przy schyłku życia jej ojciec, książę Ypsylanti, z żoną swoją a jej matką, francuzką z pochodzenia, stale mieszkał.

Jeżeli kiedy zdarzyło się, że stary hrabia w ferworze opowiadania, nie mogąc znaleźć odpowiedniego wyrażenia zaciął się, to wtedy z pewnością jakiś czas strzelał palcami, poczem prawie zawsze, wyraz, który znalazł, był polski nie niemiecki. Można by z tego wnioskować, że język ojczysty był w nim głęboko zakorzeniony, zwłaszcza że każde słowo wymawiał doskonale, ale że prawie nigdy nim nie mówił, więc też i po jednym polskim wyrazie, następowały zaraz niemieckie lub też francuzkie.

Syn przeplatał czasem konwersację krótkiemi zdaniami niemieckiemi, ale słów polskich nigdy nie używał. Ojciec za młodych lat jego ani pomyślał o tem, że syn powinien umieć mowę swoich przodków, to też nie byłby się jej nigdy nauczył, gdyby nie matka. Ta, mimo iż była cudzoziemką, jak tylko w Ujściu zamieszkała, przyjęła mu natychmiast piastunkę polkę, następnie kazała go także guwernerom ćwiczyć w mowie ojczystej, życzyła sobie bowiem, by przyszły pan na majoracie hrabiów Wągrowskich, wiedział i zawsze pamiętał, jaka ziemia go wydała.

Syn po stracie matki, która go wcześnie odumarła, przebywał najdłużej przy jej rodzinie we Francji, a czasem na kilka miesięcy przyjeżdżał do ojca do Berlina Ponieważ przez cały ten czas

po polsku ani mówił ani czytał, więc też język ojczysty stał mu się o tyle obcym, że chociaż nie zapomniał go zupełnie, z wielką tylko trudnością nim mówił, gdyż przestał w nim myśleć.

IX.

Po objedzie, ojciec i syn udali się na czarną kawę i cygara do tego samego gabinetu na pierwszem piętrze, w którym dnia poprzedniego hr. Leonard swojemu rządcy rozkazy wydawał. Ledwie tu weszli, ojciec wrzuciwszy monokl w prawe oko, zaczął uważnie przypatrywać się pięknościom na ścianach, przyczem głośno mówił:

— *Prachtvoll! Superbe!* Jedna piękniejsza niż druga.. Doprawdy, to sztuka nielada, aby razem tyle ich pozbierać. Ta u góry bruneteczka, aż się prosi, żeby ją pocałować, a ta obok niej blondynka wygląda wprawdzie, jakby nie umiała trzech zliczyć, tymczasem dałbym gardło, że przez nią nie jeden najkrótszą drogą na tamten świat pojechał. Śliczne, cudowne!

Cofnął się o dwa kroki, i głowę podniósłszy, tym się teraz przypatrywał, które wyżej wisiały.

— Oho! jak widzę Leonardzie, masz gust swojego ojca, bo są tu także Klemencja i Luiza, dwie niegdyś gwiazdy Amsterdamu i Hamburga, tylko już trochę podstarzałe... Ja byłem szczęśliwszy, mój chłopcze, bom je znał przed piętnastu laty... he! he! he! — dodał ręce zacierając — wtedy to były smaczne kąski.. Ba! ba! jest i odwieczna moja znajoma, Cora Pearl!.. Śliczna to niegdyś była istota i niebezpieczna. Zabawny Plon-Plon mógłby nam coś o tem powiedzieć Lecz czy wiesz Leonardzie, jaką ona teraz rolę odgrywa?

— Nie wiem — syn krótko odpowiedział.

— Skoro nie wiesz, to posłuchaj! Ubiegłej zimy, jak to zapewne sobie przypominasz, bom ci wtedy o tem donosił, skoczyłem na dwa tygodnie do Monaco, by zobaczyć odświeżone casino. Przyjechałem, i wierz mi, byłem olśniony. Jaki tam teraz gust, przepych, konfort, to przechodzi wszelkie wyobrażenie. Jeżeli w siódmem niebie Mahometa jest równie pięknie, dalipan wartoby się zaraz do Turków zapisać.

— Czy i huryski były takie ładne? — syn przerwał

— Było ich tam dosyć, było, codzień pociągi przywoziły świeży towar z Nicei i Paryża, ale jeżeli mam prawdę wyznać, to między temi co stale grały nie dużo było młodych i pięknych. Już to do stołów, jak wiesz, cisną się tam najwięcej baby brzydkie i stare, a złe jak djabły. Znajomych miałem bez liku, przeważnie Rosjan i Francuzów. Pierwszego zaraz wieczoru, gdym z casina wychodził, a byłem trochę zły, bom niepotrzebnie przegrał dwieście luidorów, ktoś przy drzwiach za ramię mnie chwycił. Obracam się i własnym oczom nie wierzę, wszak to poczciwa Cora Pearl! Poznała mnie baba, choć już lat dwadzieścia, jakeśmy się ostatni raz widzieli. Mówiła, żem się nic nie zmienił, i ja jej wierzę, bo tak mi jakoś szczęśliwie wszystko dopisuje, że choćbym chciał nawet, nie mógłbym o sobie powiedzieć, że się starzeję. A tobie Leonardzie jak się zdaje?

— Odkąd cię zapamiętam, zawsze jesteś jednakowy — syn odpowiedział.

Ojcu mówił on ty na sposób francuzki.

— Prawda? Ja sam także to czuję. Otóż tego co Cora o mnie mówiła, jam nawzajem nie mógł sumiennie o niej odpowiedzieć, bo baba grubo się postarzała. Chociaż i dziwić się nie można... Jakem zaczął liczyć, doszedłem, że skończyła pięćdziesiąt... U mężczyzny coś to już znaczy, a cóż dopiero u kobiety. Mimo to emabłowałem ją, ile było w mej mocy, a gdyśmy usiedli pod ścianą na kanapie, przypomniałem jej nawet nasze pierwsze spotkanie.. Wtedy ona uszczęśliwiona, że znalazła dawnego przyjaciela, zaczęła skarzyć się na los, który ją zawiódł, na znajomych, którzy o niej zapominają, i w końcu zaproponowała mi czule, bym jej pożyczył pięćset franków. Szczęście moje, żem nie miał przy sobie ani grosza, bom wszystko przegrał, gdyby nie to, byłbym jej z pewnością dał tę mizerną kwotę. Gdym nazajutrz komuś o tem wspomniał, ostrzegł mnie żebym Cory unikał, bo ona żyje dziś tylko z żebraniny. Ktoby się był tego spodziewał, mój Leonardzie, w owych czasach, kiedy piękna ta kobieta, swemi ząbkami drobnemi gryzła fortuny miljonowe, jak orzechy?! Ha! tak przemija wielkość całego świata!

To powiedziawszy, wsparł się obiema rękami o poręcze najbliższego fotelu, zgiął nogi pod kolanami i usiadł automatycznie, korpus bowiem miał ciągle wyprostowany, sztywny, jakby bał się go zgiąć, lub też nie mógł tego uczynić.

Zapalili cygara i kawę zwolna pijąc, tak dalej rozmawiali:

— Jakie tu masz sąsiedztwa, mój Leonardzie? — ojciec pytał

— Z bliskich nie wiele, ledwie dwa domy — syn odpowiedział.

— Zapewne chcesz mówić o baronie Zarnecke, z Komarowa, czy też Genselbergu, jak teraz wieś tę nazywają Znam go trochę, człowiek wcale przyzwoity, tylko mi zanadto trąci żołnierzem. Chciałbym jednak wiedzieć, gdzie się obraca brat jego, baron Fryderyk.

— Jest także w Genselbergu.

— Jest? A to dobrze, przy najbliższej sposobności muszę do niego pojechać, trzeba ci bowiem wiedzieć, że się dobrze znamy, i że mam nawet trochę sympatji dla jego dziwactw, z których największem było jego ożenienie.

— Jakto, więc baron Fryderyk Zarnecke był kiedy żonaty?

— Ależ był, i dopiero przed rokiem rozwiódł się szczęśliwie. Zabawna to historja, warto jej po-

sluchać. Wiesz zapewne, że ciekawy ten człowiek, archeologji i numizmatom oddany, na co już sporo majątku stracił, unika ludzi i najchętniej sam przebywa. Mimoto, przed kilku laty, namówili go krewni i przyjaciele, by się żenił z jakąś panną bogatą, dla której rodzice szukali męża z tytułem. Baron Fryderyk namyślał się pół roku, i dopiero gdy mu brat powiedział, że w inny sposób nie ochroni się od ruiny, zgodził się na złote kajdany, wszakże przed ślubem postawił za warunek, żeby żona do jego pokoju nigdy nie wchodziła, i dał słowo przy świadkach, że jeżeli raz to uczyni, natychmiast z nią się rozwiedzie.

— To jakiś nowożytny Barbe-bleu — syn przerwał.

— Rzeczywiście, tylko o tyle gorszy od starożytnego, że tamten przynajmniej sam zaglądał do pokojów swych żon, a ten ponoś nie bawił się w te rzeczy. He, he, he, szczególny małżonek! — hrabia śmiejąc się zawołał. — I na co jemu było się żenić!..

— Na czem się też skończyło? — syn zapytał.

— Na tem, co łatwo można było przewidzieć. W pierwszem półroczu szło wszystko pięknie i dobrze, pani siedziała w swoim pokoju, pan w swoim, widywali się tylko raz na dzień przy obiedzie, ale po upływie tych sześciu arcymiodowych miesięcy, postać rzeczy odrazu się zmieniła. Baron wyjechał gdzieś na kilka tygodni, bo mu ktoś powiedział, że będzie tam mógł nabyć cały zbiór rzadkich numizmatów. W tym czasie nominalna jego małżonka, która od służby dawno już wiedziała, że w apartamencie jej męża panuje sławny bezład, postanowiła zrobić mu niespodziankę. Zbiera tedy służbę, idzie do jego pokojów i zaczyna wszystko porządkować. Ile przy tej sposobności pomięszano cennych numizmatów, a ilu bożkom nosy poodbijano, tego nikt nie pamięta, ale że pani domu musiała po sobie ślady zostawić, to najjaśniej z tego wypływa, iż mąż wróciwszy podał natychmiast o rozwód, który do trzech miesięcy tem łatwiej uzyskał, że ona była protestantką, on zaś sam jest katolikiem.

— Szczególny człowiek! — syn zauważył.

— Rzeczywiście szczególny i dla tego wart, mój Leonardzie, byś go poznał. Przy najbliższej sposobności wybiorę się do nich i potem ich tu sprowadzę. Trzeba przecie z kimś żyć, żeby nie zdziczeć, zwłaszcza, żem się do ciebie wybrał trochę na dłużej, niżlim pierwotnie myślał. A ty stale chcesz już w Ujściu mieszkać?

— Muszę.

— Musisz? Wolno wiedzieć dla czego?

— Bo teraźniejsze moje dochody nie pozwalają mi w Paryżu mieszkać

Ojcu twarz bardzo się przedłużyła

(Ciąg dalszy nas'ąpi).

# DWA OBOZY

POWIEŚĆ FRANCUSKA

WIKTORA CHERBULIEZ.

(Ciąg dalszy.)

Pewnego dnia przyszedł on o zwykłym czasie, lecz asystenci spoglądali nań zaniepokojeni. Wszedł na pozór pewnie jak zwykle lecz wprawnemu oku nie uszło drżenie nóg jego i całego ciała. Jeszcze bardziej zaniepokoił ich wyraz jego fizjonomji. Wzrok miał rozgorączkowany, policzki zapadnięte, czoło ściągnęło się kurczowo. Dla tych, którzy byli we wszystko wtajemniczeni, było widocznem, iż mimo wysiłku nadludzkiego, mimo walki zaciętej z chorobą, ta go zwyciężyła i jeżeli dotąd trzymał się na nogach, to tylko dla tego, iż chciał umrzeć jak żołnierz na stanowisku. W chwili gdy miał zacząć operację uczuł w ręce prawej ciężkość niezwykłą i drżenie. Potrząsł głową i rzekł tonem pełnym goryczy i bolu: — „Nie.. już nie mogę“! — Zapanował jednak nad smutkiem głębokim, nóż wręczył swojemu asystentowi, udzielając rad i wskazówek z całym spokojem. Nazajutrz go nie było, nie przychodził i przez kilka dni następnych. Siostra Marja przeczuwała najgorsze; kryła się jednak ze swoim smutkiem i ponuremi przeczuciami, nie chcąc się narazić na ciotki szyderstwo i przykre docinki.

Dnia 7 grudnia, lokaj żądał widzieć się z matką Amelją i tejże zapowiedział, iż pan Antoni Cantarel dogorywa, przed śmiercią zaś radby zobaczyć siotrę Marję, swoją wnuczkę. Wypadek był przewidziany, dyspensę dano siostrze Marji od dawna. Matka Amelja wzięła ją na bok, udzielając w ostatniej chwili instrukcji najdokładniejszej, czem doprowadzała biedaczkę do rozpaczy; siostra Marja czuła bowiem instynktowo, iż tych wszystkich poleceń nie będzie w stanie dopełnić.

Powóz, stangret i lokaj którzy przybyli, aby siostrę Marję zabrać ze szpitalu, wysadzili ją przed drzwiami pałacyku, pomiędzy dziedzińcem a wspaniałym ogrodem, zbudowanego nieopodal *Pól Elizejskich*. Po kilkunastu wschodach marmurowych, weszła na ganek oszklony. Gdy przez sień przechodziła, uderzył ją głos donośny, rozprawiający namiętnie w saloniku, obok pokoju, w którym chory konał. W salonie było pełno ludzi; na prawo, na lewo, we framugach wysokich okien gotyckich, potworzyły się grupy przyjaciół, uczniów, kolegów, którzy przyszli strwożeni i zaniepokojeni, pytać się o stan jego zdrowia. Twarze były blade, przedłużone, z wyrazem boleści niekłamanej; czuło się, iż umierający wzbudza żal głęboki nie w jednem sercu I to łatwo było osądzić na pierwszy rzut oka, iż śmierć dnia tego wybrała sobie zdobycz nielada, że to zrobi wrażenie w całym Paryżu, że o tem tylko będą mówili przez jakie dwadzieścia cztery godzin. Było i wielu obojętnych, którzy po to tylko przyszli, aby módz powiedzieć: — „I ja tam byłem“. — Wiele dzienników przysłało także swoich reporterów.

Obok kominka, mężczyzna sześćdziesięcioletni, dobrze szpakowaty, którego twarz o rysach dość zresztą sympatycznych, szpeciły jedynie oczy, zarzucające zyzem, rozmawiał pocichu z pięknym młodzieńcem, powierzchowności i ułożenia niesłychanie wytwornego, kształtów prześlicznych, z głową dumnie podniesioną. W tym całym tłumie, ci dwaj zdawali się najbardziej dotknięci i zasmuceni.

Trochę opodal, pewien jegomość z brzuszkiem okrą-

głym, przysadkowaty i jak rydz czerwony, perorował głos zniżając, ale mocno rozsierdzony i nabierał z góry proboszcza z tej parafji, przytrzymując go za guzik od sutany. Widocznem było, iż nie chciał księdza dopuścić do drzwi od pokoju przyległego. Pyszny kot angora, białości niepokalanej, z długim miękkim włosem, aż do ziemi spadającym, był przytomny tej scenie, wlazłszy pod kanapkę kątową, która służyła mu chwilowo za rodzaj fortecy niezdobytej. Był mocno zaniepokojony, że mu przeszkadzano w jego słodkich nawyczkach i nie pojmował co się z nim działo. Co go jednak najbardziej niepokoiło, to szamotanie się owego jegomości brzuchatego, który strasznie rękami wymachiwał i na cały głos krzyczał.

Ów piękny młodzian oparty dotąd o kominek, zbliżył się do mowcy roziuszonego, przedstawiając iż mówi za głośno, że krzyk jego może chory usłyszeć w przyległym pokoju. Ten zaczynał się tem irytować, chciał porządnie wyłajać młodego człowieka, gdy drzwi wchodowe otworzono na oścież i weszła niemi siostra w białej szacie.

Natychmiast cisza w salonie zapanowała, połączona z niesłychanem zaciekawieniem. Owi dwaj najbardziej zgryzieni, zapomnieli o smutku na chwilę. piękny młodzieniec drgnął nerwowo i wpatrzył się w białą postać, jak w zjawisko. Nawet obojętni czuli pewne wzruszenie, reporterzy zaś coś w książeczkach szybko ołówkiem kreślili. Grubas czerwony, postąpił kilka kroków naprzeciw siostry Marji z uśmiechem na ustach szerokich i cokolwiek obwisłych, wyprostowany, z głową podniesioną, z rękami zaokrąglonemi i nogą naprzód wysuniętą jak do kadryla, w chwili jednak stanowczej stanął jak wryty i słowa nie przemówiwszy odwrócił się od niej nadąsany. Proboszcz skorzystał w lot z tamtego rejterady, przysunął się zręcznie do siostry Marji i szepnął jej na ucho:

— Siostro, Bóg ci dziś powierza zadanie najwyższe... Oto w twoich rękach spoczywa zbawienie wieczne duszy z ciała wychodzącej. Oby twoje prośby skłoniły umierającego, do pogodzenia się z Bogiem!

Skłoniła się skromnie nie dając żadnej odpowiedzi. Lokaj, który ją poprzedzał, przeszedł wzdłuż salon, mijając grupy rozmaite, które usuwały się z drogi, aby przepuścić postać białą, nareszcie otworzył jej drzwi w głębi.

Ujrzała dziadka na łóżku bez kotary Miał tylko przy sobie jedną z dozorczyń szpitalnych, którą natychmiast wyprawił z pokoju. Odeszła, a siotra Marja została sam na sam z ateuszem. Był zupełnie przytomny, widział śmierć bliziuteńko, patrzał jej śmiało w oczy, nie była dla niego żadną nowością, nie trwożyła go, obchodził się z nią jak ze starą znajomą która mu już od dawna wyjawiła wszelkie swoje tajemnice.

— Ksiądz tam czeka — siostra Marja łagodnie przemówiła, wskazując na drzwi do salonu. — Czy mogę go wpuścić?

Potrząsł głową przecząco i brwi krzaczyste ściągnął groźnie. Kurcz go schwycił, przymknął oczy.

Ona uklękła przy łóżku i głośno modlić się zaczęła:

— Panie i Boże mój, błogosław mu! Życie spędził czyniąc dobrze... Powiedziałeś sprawiedliwym, stawiając ich po Twojej prawicy: „Jesteście wybrani Ojca mojego, bo byłem nędzarzem, a wyście mnie przykryli, byłem głodny, nakarmiliście mnie, byłem chory, odwiedzaliście mnie.“ A oni odpowiedzieli: „Kiedyż o! Panie, mogliśmy Cię wesprzeć nie widząc Ciebie? A Tyś im rzekł Zbawicielu nasz: „Ile razy wspomogliście najlichszego z braci mojej, mnie samego wspomagaliście...“ Panie! Panie! błogosław go! On całe życie czynił Ci dobrze, nie znając Ciebie... Zejdź o Chryste! dotknij się jego powiek, przemów do niego, aby Cię ujrzał i usłyszał...“

Chory przerwał jej głosem omdlewającym:

— Nie trzeba przeceniać moich zasług, wykonywałem li cnoty obowiązkowe.. — Za chwilę dodał tonem głębokiego przekonania: — To zresztą jest rzeczą obojętną dla tej wielkiej rzeki, która się życiem nazywa, jakie koła młyńskie wody jej obracają.

Skinął na nią, aby powstała. Pokazał jej z uśmiechem bolesnym swoje dwie ręce, które badały i dotykały się tylu nędz i któremi pysznił się niegdyś, takie były białe i pulchne W dni kilka zrobiły się żółte, chude, szkieletowate. Szepnął żałośnie:

— Oto, co mi z nich zostało! — Poczem położył obie dłonie na czole siostry Marji i rzekł: — Któryś z papieżów powiedział, iż błogosławieństwo starca nie może nigdy zaszkodzić.

Patrzyli sobie w oczy przez dłuższą chwilę i obojgu łzy się w nich kręciły. Polecił jej wyjąć z pod poduszki sporą kopertę zapieczętowaną i włożyć do kieszonki. Wkrótce potem krwawa piana pokazała się na ustach, którą ona obtarła własną chusteczką.

— Pomódl się jeszcze — westchnął. — Podoba mi się ta muzyka.

Uklękła na nowo i swoim srebrnym głosikiem zaczęła odmawiać po łacinie modlitwę za konających. Uczuła rękę, która szukała pod kornetem jej włosów, a znalazłszy takowe, o jeden z palców owinęła Ten palec sztywniał zwolna... Usłyszała jęk żałosny.. z trudnością wyplątała swoje włosy, podniosła się z ziemi.

Skonał

Pochyliła się nad nim, otarła z czoła pot śmiertelny, wygładziła mu faworyty, brwi, wszystko na twarzy przyprowadziła do ładu i powieki mu z lekka przycisnęła, póki się zupełnie nie zamknęły. Patrzyła na niego długo, ze zdziwieniem coraz wzrastającem Zwolna, czoło skurczone bolem, wygładziło się i jaśniało wiecznym spokojem; twarz mieniła się od chwili do chwili a śmierć przyoblekała ją w piękność prawie nadziemską. Zdało się siostrze Marji, iż ta dusza, która tylko co powłokę cielesną opuściła, weszła napowrót w ciało, przynosząc jej dobre wieści z podróży w sferach nieznanych. Zdało jej się również, iż w niej zaszła dziwna przemiana. Wiara tkwiła w jej sercu nietknięta, a jednak była czemś innem. Czułość spadła z niebios, przeniknęła jej wnętrze, rozszerzyła serce. Mówiła sobie i powtarzała ustawicznie, iż skryte są drogi Opatrzności i że Bóg ma wiele mieszkań w swoim domu.

Dwa razy ucałowała z czcią czoło zmarłego, nareszcie wyszła z pokoju. Skoro pokazała się w salonie, otoczono ją pytając: — „I cóż?“

— Niestety! — szepnęła — wszystko skończone!

Wtedy tłumnie weszli do sypialni drzwiami, które zostawiła odchylone; każdy chciał popatrzeć na to, co jeszcze zostało po tym wielkim człowieku.

Zaledwie wróciła do szpitala, matka Amelja potrafiła znaleźć chwilkę wolną, i zawołała ją do swojej celi. Siostra Marja kłamać nie umiała, powtórzyła też najwierniej wszystko jak było. W miarę jak postępowała w opo-

wiadaniu, twarz zakonnicy robiła się coraz chmurniejszą. Musiała znieść w pokorze matki Amelji uwagi ironiczne, niecierpliwe wzruszanie ramionami, jej ostre docinki i burę w końcu sążnistą. Dla czegóż bo siostra Marja nie postąpiła według instrukcji? Dla czego, bądź co bądź, księdza nie wprowadziła? Ale jej brakło wiary, tej wiary, która działa cuda i góry przenosi, i stało się zgorszenie, a przyjdzie może dzień, w którym Bóg zażąda od niej rachunku, z tego co się stało! Biedne dziecię słuchało w milczeniu, nie wiedząc co odpowiadać. Było coś w jej sercu, czego nie była w stanie wypowiedzieć, a gdyby była i wypowiedziała, czuła, iżby jej nie zrozumiano.

Przypomniała sobie na szczęście kopertę, którą dziadek kazał jej włożyć do kieszeni, i na chybił trafił podała ją ciotce swojej, ciesząc się błogą nadzieją, iż zwróci na pismo uwagę i w gniewie cokolwiek się uspokoi.

Matka Amelja wzięła kopertę z widoczną niechęcią, rozpieczętowała, wsadziła na nos okulary, była bowiem krótko-widzącą, i zbliżyła się do okna aby łatwiej pismo odczytać. Siostra Marja nie spuszczała z niej wzroku i nagle spostrzegła, że twarz ciotki dziwnie się rozjaśniła, czoło wygładziło, a oczka błysnęły niezwykłą radością. Co ją jeszcze bardziej zdziwiło, to, gdy usłyszała z ust matki Amelji czuły wykrzyknik:

— Ach! dziecię moje! Moje drogie dziecię! — Uszom własnym nie wierzyła. — Tak, tak, moje drogie dziecko — powtórzyła matka Amelja, patrząc na nią z pod oka słodko i pieszczotliwie — coś nadzwyczajnego, a jednak prawdziwe!... Ciesz się wraz ze mną.. Trzykroć sto tysięcy franków!

Zaczęła natychmiast czytać głośno pismo, które ją wprawiało w tak namiętne wybuchy radości; była to kopja testamentu pana Antoniego Cantarel'a. Słusznie kiedyś utrzymywała w obec siostry Marji, iż jej stryj zebrał znaczny majątek; wielki operator, który się nie żeni, sam zaś żyje nader skromnie, to prawdziwe błogosławieństwo niebios dla spadkobierców. Pan Cantarel postanowił egzekutorem testamentu najwierniejszego ze swoich przyjaciół, pana Vaugenis, dawnego prezydenta sądu, któremu zostawiał w spuściźnie swoją willę. Bibljotekę i szkatułkę z instrumentami, przeznaczył dla swojego asystenta; kilku uczniom najulubieńszym, różne ładne i cenne pamiątki, bratu Ludwikowi pierścień brylantowy na pamiątkę z tym dopiskiem, iż dzięki wpływom i pomocy brata starszego, brat młodszy, Ludwik Cantarel, zebrał jeszcze większy niż on majątek. Resztę podzielił prawie na trzy równe części: jedną przeznaczając dalekim dwom kuzynom, drugą oddając swojemu ukochanemu szpitalowi, a trzecią część darowując swojej wnuczce, z tem jednak surowem zastrzeżeniem, żeby spędziła dwa całe lata w domu swojego opiekuna, który już dawniej dom swój jej ofiarował, w przeciwnym bowiem razie, gdyby tego warunku w żaden sposób wypełnić nie chciała, spadek będzie jej odebrany i posłuży na ufundowanie domu przytułku dla chorych nieuleczalnych, na który sam podawał plan i kosztorys.

Matka Amelja nie posiadała się z radości. Powtarzała bez końca:

— Trzykroć sto tysięcy! Co za posag! Co za posag!

Siostra Marja napróżno siliła się zrozumieć to uniesienie i tę radość bez granic, tak miała umysł ograniczony.

— Ależ proszę matki — odezwała się nareszcie — na cóż mi się przyda hojny dar mojego dziadka, którym bądź jak bądź jestem do głębi wzruszona i szczerze wdzięczna zmarłemu?

— Jakto na co?

— Ten warunek, na mnie włożony...

— Cóż dalej?.

— Nie mogę go przecież przyjąć.

— Dla czego?.. Z jakiego powodu?..

— Z powodu, iż wzięłam rozbrat ze światem.

— Dwa lata!... Czemże są dwa lata?

— Czyżby matka miała mnie do tego namawiać?..

— Ja, całe nasze zgromadzenie, Bóg sam!

— A gdyby się zdarzyło?...

— Nic się zdarzyć nie może, ja ręczę. Dziś ci to mogę powiedzieć, jestem najmocniej przekonana o twojem powołaniu.

— Zdaje mi się jednak, iż było by moim obowiązkiem...

— Dość tej polemiki! — matka Amelja wpadła jej w słowo, patrząc na nią ze słodką, łagodną wymówką. — Wiem lepiej niż ty, co jest twoim obowiązkiem. Bóg zdziałał cud istny, natchnął bezbożność do oddania części Jemu się z prawa należącej, a ciebie obrał za narzędzie swojej woli najświętszej. Nie przyjąć tego daru, byłoby z twojej strony okradzeniem kościoła, okradzeniem Boga samego. Uważaj siebie za związaną z Barankiem bez zmazy, na wieki, bo też w myśli złożyłaś śluby zakonne, a próba, na którą będziesz wystawiona, wyda ci się drobnostką. Bóg doświadcza li swoich ukochanych.

Tak pokonywała wszelkie skrupuły. Siostra Marja była jednak tylko na pół przekonana; wydawało jej się czemś tak naturalnem, zrzec się z góry trzechkroć stu tysięcy franków! umilkła nareszcie Jej tyranka jeszcze ją bardziej teraz męczyła i niepokoiła czułościami niezwykłemi, niż dawniej swoim gniewem i szorstkością brutalną.

Przez cały tydzień następny nieraz oczy przecierała pytając, czy to sen, czy jawa, tyle jej matka Amelja czułości okazywała, tak była dla niej względną i tak o nią troskliwą, łając surowo posługaczki szpitalne, jeżeli która z nich nic nie wiedząc o tem co zaszło, pozwoliła sobie po dawnemu, zawezwać siostrę Marję do pomocy, w jakiej grubej i ciężkiej robocie. Wielką dla niej niespodzianką był również list otrzymany od opiekuna, a pisany zupełnie z innego tonu; czytając to zaproszenie, niesłychanie grzeczne i serdeczne, nie mogła się wstrzymać od zastanowienia nad tem, iż tak w świecie, jak i w szpitalu posag znaczy bardzo wiele. Co ostatecznie złamało jej opór, to króciutki bilecik, który matka Amelja przyniosła jej z miną tryumfującą, a w którym mieściły się te słowa: „Proszę powiedzieć naszej kochanej siostrze Marji, iż wszelkie wahanie się z jej strony, byłoby ciężkim grzechem.“ — Trzeba więc było uledz. Sprowadzono czemprędzej nazad trochę rzeczy, które były u kogoś na składzie. Siostra Marja znalazła w zawiniątku kostjum zimowy, jako tako możliwy na początek; zmuszona rozkazem z góry spędziła część nocy, aby suknię przerobić i odświeżyć cokolwiek. Praca wydawała jej się jałową niesłychanie. Matka Amelja dodawała jej ducha, raz w raz powtarzając:

— Będę do ciebie często pisała, a kiedy niekiedy przyjdziesz nas odwiedzić.

— Ah! moja matko, jak ja się będę czuła opuszczoną!

Odpowiedziała jej temi słowami tajemniczemi:

— Córko małej wiary, bądź pewna, iż będziemy wiedzieli o każdym kroku twoim i choć tych murów nie opuszczę, będę jednak wszędzie i zawsze przy tobie!

Dnia 15. grudnia, panna Jetta Maulabret wstała do dnia, aby przybrać strój świecki; suknia czarna kaszmirowa, wydała jej się czemś nieprzyzwoitem, niby kostjum na bal Opery. Pasterz, którego król pewien wezwał na dwór swój, aby zamiast stadem owiec, rządził ludźmi, wkrótce zaczął żałować swojej torby z chlebem suchym, swojej kurtki ciepłej i wygodnej, biczyka i wiernej, rzewnej fujarki:

„Skarby drogie — mówił — na was nigdy w życiu
„Nie czybał kłamca, zdrajca zawistny w ukryciu.

Panna Maulabret te same słowa prozą powtarzała, wpatrując się z sercem ściśnionem w swoją szatę białą, zwieszającą się smutno z łóżka poręczy. Zdawało jej się, iż siostra Marja umarła, że jej już nigdy nie zobaczy i płakała nad nią. Zapowiedziano jej iż powóz zajechał i czeka przed bramą. Uściskała ciotkę, nawzajem przez nią uściskana i wymknęła się bocznemi schodami, aby uniknąć wszelkich pytań i nie ściągnąć na siebie spojrzeń ciekawych.

Nie masz ludzi ciekawszych, niż asystenci.. z wyjątkiem uczniów!..

Pierwszy jej wstęp w życie światowe, surowo się zapowiadał. Mróz był siarczysty, wicher dął w oczy i smagał po twarzy. Z wieczora i przez noc całą śnieg padał gęstemi płatami i jeszcze go z dziedzińca klasztornego nie zmieciono. Zapadała się w niego powyżej kostek i zaledwie dobiła się do bramy żelaznej. Przed nią stanąwszy odwróciła się, objęła długiem spojrzeniem ten dom, w którym spędziła jedenaście miesięcy, te mury, drzew szczyty niebotyczne, które kochała, nawet i takie jakiemi były obecnie nagie i suche. Pożegnała w duchu swoich drogich chorych i owo szczęście względne, które po za sobą zostawiała. Spostrzegła w tej chwili nad głową płat nieba lazurowego, wśród mgły szarej i gęstej. Zdało jej się, iż widzi na tem tle głowę siwą i czcigodną starego ateusza, który przez całe życie wierzył li w wielkie nic, a po śmierci miał nie lada niespodziankę, znalazłszy się oko w oko z Bogiem miłosiernym, który mu wszystko w łasce swojej przebaczył; była tego pewna! Ten ateusz jednakże zachował całą swoją złośliwość, patrzał z radością na pannę Maulabret klasztor opuszczającą i cieszył się figlem, którego jej spłatał.

Posłała mu od ust pocałunek czuły i czci pełen, potem głową potrząsając rzekła półgłosem:

— Przegrasz partję dziaduniu, spędzę wprawdzie dwa lata na świecie, ale serca tam z sobą nie biorę. Ono tu zostaje!..

(Ciąg dalszy nastąpi)

# NA ZIEMI MĘCZENNIKÓW

## POWIEŚĆ

osnuta na tle stosunków irlandzkich

przez

## KAROLA DESLYS'A.

(Ciąg dalszy).

— Hoche miał słuszność! — szepnął Tankred.

— Za mało im jeszcze było dragonów — Pat dalej opowiadał — uformowali więc w kantonach północnych pułki *Fencéble'ów*, z ludności protestanckiej. Z nad brzegów Renu zaś, sprowadzono na pomoc czarnych huzarów...

Zaledwie przewodnik wymówił te słowa grozy pełne, nagle urwał, a patrząc w dal wzrokiem wystraszonym i trzęsąc ręką wyciągniętą:

— *Hillou*! — zawołał. — Dobrze to u nas mówią: „Nie wywołuj djabła, bo cię wsadzi na rogi“ Ot! już i są!

Na wierzchołku pagórka dość stromego, ku któremu droga pięła się wężykowato, pokazała się nowa banda jeźdźców zbrojnych. Było ich około dwudziestu. Tak samo jak wpierw dragoni, puścili się cwałem, zoczywszy podróżnych, ale od tamtych niebezpieczniejsi, otoczyli ich z gołemi podniesionemi w górę pałaszami, wrzeszcząc i klnąc na czem świat stoi.

Łby przy samej głowie ostrzyżone, wąsiska sumiaste barwy płowej, twarze obrzękłe i trędowate, wyraz w oczach srogi, jak u drapieżników, zdradzały opojów i dzikich żołdaków. Mundur czarny, ze srebrnemi pętlicami, czapka ozdobiona trupią główką, szerokie miecze w słońcu połyskujące, wszystko zdawało się wyrachowane, aby tem większy popłoch szerzyć między krajowcami i otoczyć najezdników grozą ponurych grabarzy trupów, przez nich pomordowanych. Przez siodło każdy z nich miał wór przerzucony, napchany zdobyczą, na mieszkańcach nieszczęśliwych złupioną. Można ich było wziąć za owych rajtarów i pandurów, rabujących co i gdzie się dało, podczas wojny trzydziestoletniej.

Młody oficer, odznaczający się między tą hołotą ułożeniem i rysami delikatniejszemi, arystokratyczniejszemi, był widocznie dowódzcą oddziału. Poznawszy w podróżnym na pierwszy rzut oka sobie równego, skinął ręką na podkomendnych i tonem prawie grzecznym, łamaną angielszczyzną znowu zażądał paszportu.

Z uśmiechem najuprzejmiejszym, który igrał wiecznie na pełnych i świeżych ustach hrabiego, tenże mu odpowiedział w najczystszym języku niemieckim:

— Oto ostatni, wystawiony w Bristol.. Ale ten tu datowany z Frankfurtu. Może wyda się panu lepszym...

Usłyszawszy ze zdziwieniem dźwięki mowy ojczystej, już oficer zmiękł trochę. Gdy jeszcze zobaczył na pargaminie podpisy i legalizacją paszportu po niemiecku, zniknęła resztka dumy i nadętości, właściwych rasom germańskim, a nawet rodzaj bladego uśmiechu na wąskich ustach się pojawił.

— Grzeczność za grzeczność — przemówił niezłą francuzczyzną, przyłożywszy dłoń do czapki wojskowej — żałuję i przepraszam, żem zatrzymał pana hrabiego... Żegnam, życząc szczęśliwej podróży.

Spojrzał groźnie po żołdakach i krzyknął zupełnie innym tonem i w innym języku:

— *Forwerts*!

Huzary natychmiast z miejsca ruszyli, jednego atoli skorcił galon złoty przy płaszczu Tankreda, i wyciągnął po niego pazury chciwe zdobyczy.

Spostrzegł to oficer. Palnął go przez twarz na płask pałaszem, i rabuś rycząc z bolu, ale przyzwyczajony do niewolniczej subordynacji, wsunął się nazad do szeregu.

— Nieprawdaż wasza wysokość, że to śliczne lale?! — Pat przemówił za chwilę ochłonąwszy z przestrachu — *Arrah*! Gdyby tak można uczuć się silniejszym, a trzymać za kark każdego z tych bezbożników pod tęgim *shillelahs*!

Tak nazywają Irlandczycy, grube laski sękate, które

nietylko do podpierania, ale i za broń zaczepno odporną służą częstokroć krajowcom.

Tu zaczął opisywać szczegółowo okrucieństwo i rozmaite nadużycia huzarów. Nie powtarzamy tych szczegółów z umysłu, aby nas o przesadę i parcjalność nie posądzono. Moglibyśmy jednak zacytować źródła historyczne, w których stoi wyraźnie, iż Anglja, ku większemu pognębieniu nieszczęśliwej Irlandji, posiłkowała się dziką hordą niemieckich jurgieltników. Historja ówczesna i pamiętniki osób prywatnych zanotowały, przekazując potomności, ich krwawe gospodarstwo i czyny haniebne. Głównodowodzącym tą hordą barbarzyńców, był niejaki baron Homspach, godny pod każdym względem takich podkomendnych. Zostawił w Irlandji, kraju legend i bajek z *„Tysiąc Nocy i jedna"*, po prostu pamięć straszliwego *Wilkołaka*. Spotkamy się z nim jeszcze.

Słońce chyliło się już ku zachodowi. *Poney* strudzony, szedł coraz leniwiej, a i hrabia odczuwał potrzebę posiłku i odpoczynku

— Pat! — odezwał się wreszcie — niespotkamy przypadkiem jakiej karczemki? Czas byłby, i wielki, zjeść co samemu, posilić konia...

— I przewodnika! — Pat żywo dokończył. — Niech wasza wysokość nie troszczy się wcale! moja w tem głowa!... Zbliżamy się właśnie do oberży, gdzie chętnie i dobrze podróżnych ugaszczają. Poczciwi ludziska, nie każą sobie zbyt drogo płacić.. bardzo zamożni... co u nas, *ma Bouchal*! nie lada rarytas!..

Oberża, a raczej wiejska gospoda, zarysowała się na tle nieba purpurowego, na drogi zakręcie.

Z daleka wyglądała jeszcze jako tako, skoro jednak bliżej podjechali, zastali zniszczenie, jakby tylko co przeszedł tędy orkan straszliwy. Pomiędzy płotami porozwalonemi i połamanemi uwijała się garstka ludzi przerażonych. Kilkoro gasiło początek pożaru, który jeszcze domu samego nie dosięgnął. Z obórki obok już tylko zgliszcza dymiące pozostały. W domu mieszkalnym nie było ani drzwi, ani okien, a z wnętrza wydobywały się jęki bolesne i krzyki dzikiej rozpaczy.

— Cóż tu zajść mogło? — szepnął Tankred.

— Pobiegnę naprzód i dowiem się! — rzekł Pat

Wrócił niebawem, wyciągając ku niebu chude ramiona, z wykrzyknikami zgrozy i rzewnym lamentem.

— Ach! *Musha*!... Jakie nieszczęście!... Co za dopust boży!.. Ten biedny Donald!... Gospodarz tutejszy nazywa się, a raczej nazywał się Donald.. Powiesili go za nogi!... Cztery godziny takich mąk piekielnych! A w dodatku ile go się naszturkali, i gołemi pałaszami napłazowali! Umrze biedaczysko niezawodnie!... a majątek z kretesem zniszczony!... Poszedł cały. taki piękny dobytek!... Okropność, okropności!

— I któż sprawcą tego wszystkiego?! — oburzył się Tankred

— Och! — Pat wzruszył miłosiernie ramionami — Łatwo się domyśleć! Anglicy przynajmniej nie rabują. Słuchajno! dziewczyno! panienko!...

Tyczyło się to służącej, która biegła pędem przez obejście.

— Czy i w domu rabowano, moja miła?

— Wszystko skradli! zabrali! — odpowiedziała głosem urywanym — nawet nasz stary zegar z kukułką! — i zniknęła im z oczu po za opłotkami.

— Niema wątpliwości — mruknął Pat — to ci rajtary, cośmy ich na drodze spotkali!

— Zobacz tylko, czy moglibyśmy przydać im się na co w nieszczęściu — wtrącił hrabia — a możebyś coś znalazł, bodaj najlichszą przekąskę? Czuję głód straszliwy!

— Idę! lecę! Wasza wysokość raczy usiąść na ławeczce, ot! pod tą jabłonką, gdzie jeszcze i kawałek stołu zostawili... cud! że i tego nie porąbali!... Konia na każdy sposób biorę do stajni... Ale czy ich konie nie pożarły wszystkiego owsa i siana?..

Gaillefontaine usiadł na miejscu wskazanem Stół ledwie się trzymał na trzech nogach; na ławce zaś, trzeba było nie lada zręczności, aby nie stracić równowagi.

Pat wkrótce się zjawił, niosąc jakieś skorupy z rozbitych talerzy, a na jednej z nich ozór wędzony.

— Znalazłem go przecie, wysoko, wysoko! w kominie!.. Zbóje jakoś przeoczyli!... — tłómaczył. — Zresztą wszystko pochłonęli, drób popiekli nawet nieskubany... A to dopiero żarłoki!... Na szczęście jaj kilka odkryłem pod krzaczkiem w ogrodzie. Zaraz będzie z nich przewyborna jajeczniczka!...

— Doskonale! — Tankred głową skinął. Co prawda w Ameryce i w Wandei, nie często jadał podobne przysmaki. — Ale coś do picia! Mam szalone pragnienie.

— Jedna tylko flaszka, i to nadpoczęta!... — Pat w głowę się poskrobał. — Ale to whisky?...

Hrabia skrzywił się okropnie.

— Z wodą chłodzi niesłychanie! — Pat zapewniał uroczyście — a bez wody, jeszcze lepsze!..

W kilka minut podwieczorek był gotów.

— A ci biedni ludzie? — Tankred zauważył.

— Pełno w domu sąsiadów i przyjaciół — odparł przewodnik. — Nasz zaś *Poney* ma, czego tylko dusza zapragnie!... Niech wasza wysokość w dobrem zdrowiu spożywa. Jakże smakuje moja kuchnia?

Tankred oświadczył, iż jajecznica i ozór niezrównane! I whisky z wodą świeżą dość mu przypadła do smaku.

Ma się rozumieć, iż hrabia dzielił się wszystkiem z biednym *Paddy*, które kąski chciwie połykał. Co do żarłoczności, można go było wcielić na śmiało w szeregi Czarnych Huzarów.

Dotąd jednak pił tylko czystą wodę.

Skoro jednak hrabia powstał zostawiając mniejszą połowę flaszki nie wypitej, Pat pożądliwie ku niej długie palce wyciągnął.

— A twoja obietnica? — Tankred przemówił.

— Pat o niej nie zapomina! — odpowiedział

I wdrapawszy się na szczyt jabłonki ze zwinnością szympansa, przytknął do ust szyjkę od butelki, dodawszy w nawiasie:

— *Arrah*!.. Pat nie jest na ziemi. Może wypić nie łamiąc przysięgi!

Tankred nie mógł wstrzymać się od śmiechu z tego zręcznego wykrętu. Wkrótce puścili się w drogę obydwaj.

Hrabia wręczył kilka luidorów przewodnikowi, aby je oddał biednemu, zrabowanemu gospodarzowi. Pat unikał rozmowy o tej sprawie.

— Czy powiesz mi raz przecie! — ofuknął go hrabia — o ile gospodarstwo byli zadowoleni z sumy, którą im ofiarowałem?

— Wdowa jest nieskończenie wdzięczną.

— Jakto wdowa?!...

— Niestety! tak jest, nie chciałem psuć apetytu waszej wysokości... Biedny Donald... skonał!..

Tankred drgnął i ścisnął pięści mimowolnie, pełen oburzenia. Przez całą godzinę jechali w ponurem milczeniu pogrążeni.

I krajobraz zmienił się zupełnie. Ani łąk bujnych, ani zieleniejących się uroczo pagórków. Po obu stronach gościńca, zaledwie dla konnej jazdy przystępnego, grunt nieurodzajny; na wzgórkach krzemienistych gdzie niegdzie trochę mchu i pnie drzew spróchniałych. Był tam bór niegdyś, z którego obecnie zostały szczątki przez pół zgniłe i nędzne zarośla Dalej sterczały wysokie nagie skały, niby szkielety okrętów, które w bagnie torfiastem przez pół zatonęły. Kałuża wody, okrytej pleśnią zielonkowatą, wypełniała każde zagłębienie. Pomiędzy trzciną i łozami, płynęły z gór strumyki, szemrząc cicho, tajemniczo, a czarne jak nurty *Styxu*. Widnokrąg zamykał łańcuch gór wysokich i niemal z wszelkiej roślinności ogołoconych. Smutkiem przejmywała ta natura obumarła. Była to istna puszcza skalista i ponura niesłychanie.

— Ależ! — odezwał się Tankred, myśląc widocznie przez cały ten przeciąg czasu o nieszczęśliwym Donaldzie — dlaczego zamordowali człowieka niewinnego, pod jakim pozorem?!..

— Dla czego? — cicho odrzucił przewodnik. — Aby skłonić do porwania za broń jego sąsiadów, przez których był ogólnie lubionym. Pod jakim pozorem? Żądali od niego wskazówek, gdzie się obecnie znajduje *Wild-Irish*; jakby tego mógł kto dociec?!

Nazwisko *Wild-Irish*, obudziło w umyśle hrabiego jakieś wspomnienie ulotne, nieokreślone:

— *Wild-Irish?* — powtórzył. — A to znowu kto taki?

Oglądnąwszy się wprzód trwożliwie naokoło, Irlandczyk bąknął cichuteńko:

— Bóg dla nas... djabeł wcielony dla wrogów!..

— Tłumacz się jaśniej Pat!

— Skoro wasza wysokość umiesz po angielsku, już samo nazwisko..

— Znaczy tyle co Dziki Irlandczyk — wpadł mu Tankred w słowo — lub bliżej rzecz określając: Irlandczyk Niezwyciężony.

— Oh! to! to właśnie! Wiele razy nasi ojcowie powstawali, był zawsze na ich czele! *White-Bois* czyli Niwelatory, Serca ze Stali, czy Serca dębowe, on wszystkim przewodził! Nazywał się kapitanem *Roch*, wodzem Prawa, pułkownikiem Dwunasta Godzina. Znali go i lękali się od dawna, od wieków! On jest tym, którego Anglicy złowić nigdy nie mogli, bo jest nieuchwytny, nieśmiertelny! *Hillo-hou!* To nasz Wielki Mściciel!

Biedny *Paddy* zmienił się do niepoznania. Dumnie wyprostowany, zdawało się niemal iż zmężniał i wyszlachetniał, tak mu wzrok się iskrzył zapałem patryotycznym.

— Prawisz mi bajki do dzieci usypiania! — burknął hrabia gniewnie. — Jakiż wiek miałby obecnie twój bohater?

— Pięćset lat — Pat potwierdził z najgłębszem przekonaniem. — I niech wasza wysokość raczy zauważyć, iż jest zawsze równie młodym i niezwyciężonym!

— Nie dziś przynajmniej, ile się zdaje — bąknął hrabia ironicznie.

— Za to jednak ręczę — Pat zręcznie wyminął odpowiedź -- że jutro przed domostwem Donalda będzie wisiało trzech huzarów... *Arrah*! trzech za jednego! On nie liczy inaczej!

Nasi dwaj podróżni stanęli u góry podnóża.

Francuz niedowiarek, chciał dalej prowadzić rozmowę w tonie żartobliwym.

Zabobonny Irlandczyk atoli, przerwał mu, mimo całego uszanowania dla osoby hrabiego:

— Niech wasza wysokość raczy się nie śmiać! — rzekł uroczyście. — Wstępujemy właśnie w granice gdzie *Wild-Irish* panuje samowładnie... I oto zbliża się godzina, w której działać przywykł...

Noc w samej rzeczy zapadała.

Hrabia był łatwy do zgody; nie upierał się zatem i żartów zaprzestał, tem więcej, iż zajął go widok, zmieniający się powtórnie.

Przejście wąskie, wyglądające zdaleka na prostą w skale rozpadlinę, pozwoliło jednak chudemu rumakowi wraz z jeźdźcem dostać się na drugą stronę, gdzie u stóp góry rozciągała się rozkoszna dolinka, wyścielona mchem miękkim i zielonym, tudzież mnóstwem ziół aromatycznych.

Krzaki a nawet świerki i sosny, rosły na stoku po łudniowym, nad bitym gościńcem. Po obu stronach spadały potoki srebrzyste, tworząc pyszne szumiące kaskady.

Można było pomyśleć, że rószczka czarodzieja przeniosła nagle podróżnych w Alpy boskiej Italii.

Niespełna w godzinę, wąwóz coraz się rozszerzał i stawał się coraz więczej malowniczym. Zbliżyli się do brzegów wielkiego jeziora w Gourgane-Barra.

Niebo i jezioro ogniem płonęło.

— *Musha*! — Pat zawołał. — Co za szczególny zachód słońca!

— Ależ słońce zaszło oddawna! — hrabia zauważał.

— Jedźmy prędzej! — naglił przewodnik, dziwnem przeczuciem dręczony. — Skoro dostaniemy się do tego skrętu, na wierzchu pagórka zobaczymy zamek O'Connor'ów.

W chwilę później, gdy stanęli na owym drogi zakręcie, krzyk podwójny wyrwał im się mimowolnie.

Siedziba odwieczna O'Connor'ów stała w płomieniach.

## VII.

## Inny przewodnik.

Widok pożaru miał w sobie coś fantastycznego,

Zamek starożytny, zbudowany przez przodków wielkiego rodu O'Connor'ów, w tej kotlinie otoczonej górami i lasami, przetrwał wieki nietknięty, szanowany, jako pomnik historyczny, jako pamiątka po dawnych władzcach Irlandji. Nawet nienawiść Angielska nie śmiała się targnąć na te relikwie narodowe; trzeba było dłoni nikczemnych najemników, aby wzniecić pożar, zniszczyć odwieczne gniazdo rycerskie. Pat, który pobiegł przodem na zwiady, wrócił wkrótce z tą wiadomością do Tankreda. Ogień jeszcze dziś rano został podłożony.

Płomienie zewsząd buchały, oświetlając krwawą łuną niebo i wody źwierciadło. Chwilami z poza kłębów dymu szarego wyzierały skały, dziwnie powyziębiane, dąb rozłożysty lub rosochata wierzba płacząca, niby jakieś widma straszliwe. Zdawało się jakby z murów płynęła krwi kaskada. Ze środka morza płomienistego, wylatywały w górę kawałki belek ognistych, ramy okien, i z sykiem żelaza rozpalonego spadały w dół, tonąc w falach jeziora.

Facjata zamkowa, z granitu budowana, stała dotąd nietknięta, rzucając cień na tło płomieniste.

Z szumem i hukiem, który płomienie sprawiały, łączyła się wrzawa piekielna głosów ludzkich, dziwnie pomięszanych:

— Cóż to za dzikie wrzaski? — spytał hrabia.

— Oh! wstyd nawet mówić o tem!—Pat machnął rękami — to pospólstwo okoliczne. Zbiegło się tałatajstwo, jak ćmy do płomienia, a nie mogąc zażegnać i ugasić pożaru, rzuciło się psiarstwo nikczemne na wiktuały i trunki w piwnicach przechowywane. Po sępach, kruki!

Tankred posunął się z koniem naprzód.

Na murawie w parku, poza klombem z drzew rozmaitych, chłopstwo podpite doskonale, dolewało jeszcze w najlepsze i raczyło się jadłem i trunkami rozmaitemi. A tak byli nieświadomi i dziecinnie naiwni, wyprawiając tę haniebną hulatykę kosztem ich pana i dzięki pożarowi, który niszczył jego pyszną siedzibę, iż raz po raz wznosili toasty na cześć nieobecnego:

— O'Connor niech żyje! Na zdrowie naszemu panu! krzyczeli jak opętani.

Trunku dostarczały im beczki całe ze szpuntami poodbijanemi.

Na widok nieznajomego nikt się z miejsca nie ruszył. W tejże samej chwili jednak, zbliżyli się ku pijącym inni jacyś ludzie spokojni i w nastroju dziwnie uroczystym.

Ich dowódzca, (na takiego przynajmniej wyglądał) mężczyzna na samym przodzie, wszedł w sam środek wesołych biesiadników.

Jeden z nich, nie patrząc nawet na nowo przybyłego, podał mu szklankę po brzegi napełnioną:

— *Arrah*! — zawołał głosem ochrypłym — tyle zyskanego! Wypij i ty za zdrowie naszych dobrych panów i za pomyślność naszej starej Irlandji!

Nieznajomy wylał w twarz mówiącemu trunek gorący, a szklanką cisnął o ziemię z taką siłą, że rozprysła się w drobne kawałki.

A następnie z pysznym giestem, świątobliwego oburzenia:

— Starej waszej Irlandji! -- wykrzyknął — A czyż ona ma co wspólnego z takimi jak wy bydlakami? Łotry! podli złodzieje! którzy nie wstydzicie się tarzać w kale rozpusty i korzystać haniebnie z nieszczęścia waszych panów dobrotliwych, waszych obrońców prześladowanych i na wygnanie skazanych. Wy Irlandczycy?... Kłamstwo bezczelne! Wyście Pariasy! wyrzutki społeczeństwa, wstrętniejsi i nikczemniejsi od błota waszych bagien torfiastych. Jeść i upijać się, oto wasze bóstwo, wasza wiara!... choćbyście mieli pożerać ciało, a upajać się krwią waszych braci. Precz mi z oczu opoje!...

Dotknięci klątwą do żywego, kilku hardo się zerwało, grożąc zuchwalcowi laskami sękatemi.

Płomienie buchnęły jakby z krateru wulkanicznego, oświetlając nagle twarz nieznajomego.

Na ten widok i najśmielsi cofnęli się natychmiast, drżący i przerażeni, jakby im się ukazał sam książę piekielnych otchłani, wśród blasku od łuny bijącego.

Jeden, jedyny, tak pjany zapewne, iż nie mógł rysów tej twarzy rozpoznać, próbował jeszcze oporu i nie ruszył się wcale.

Nieznajomy porwał go za kark, a podnosząc w górę:

— Nie pozwalam pić dłużej! — huknął ze spojrzeniem piorunującem. — Czyście zrozumieli? Zakazuję!

I giestem pełnym wstrętu, rzucił nim jak piłką pomiędzy uciekających.

W ich poddaniu się surowemu rozkazowi, czuło się nie tylko ślepe posłuszeństwo, ale i żywą sympatję, obok trwogi zabobonnej i czci najgłębszej. Choć zelżeni i znieważeni, schylali głowy w pokorze przed pana ukochanego wyrokiem sprawiedliwym, a w oczach radość się malowała.

— Chleb i resztę wiktuałów — zagrzmiał znowu głos potężny — możecie zabrać z sobą, dla waszej głodnej dziatwy. Ale trunków upajających, niech mi się nikt tknąć nie waży! Porozbijać natychmiast te skorupy!

Rozkaz ostatni tyczył się jego towarzyszy. Rzucili się do beczek i w okamgnieniu dna powybijali z pomocą olbrzymich, sękatych *shillelahs*, które każdy z nich trzymał w dłoni.

Chłopstwo tymczasem zbierało czemprędzej, to, co im wziąć wolno było i wkrótce poznikali pod nocy zasłoną, gubiąc się w kierunkach rozmaitych.

Tankred aż do tej chwili ukryty za drzewami, był niemym świadkiem tej całej sceny. Teraz z konia zeskoczywszy, trzymając w rękach kapelusz stosowany, zbliżył się do nieznajomego:

— Panie! — przemówił z wrodzoną sobie rycerską grzecznością — Jesteś człowiekiem szlachetnym! Nie dziw, że cię tak wszyscy czczą i słuchają. A może widzę przed sobą sir Artura O'Connor? Jego szukam właśnie.

— Nie mam tego wielkiego zaszczytu — nieznajomy skromnie zaprotestował. — Czyż pan nie zrozumiałeś, że jeżeli zamek podpalono, to li z bezsilnej wściekłości, iż nie mogli wytropić samego właściciela?

— O'Connor nie jest więc Gourgane Barra? Nie mógłbyś mnie pan do niego zaprowadzić?

A chociaż reszta obecnych stała opodal i nikt ich dwóch nie mógł usłyszeć, Tankred głos zniżył do szeptu:

— Idzie tu panie o misję bardzo ważną...

— Dla większej pewności, nie raczyłbyś pan wymienić swojego nazwiska?

Wysłannik Hoche'a wahał się jeszcze.

W blasku płomieni, dwaj ludzie widzieli tak jasno jeden drugiego, jakby w dzień biały.

— Czekaj pan! — nieznajomy tarł czoło, jakby chciał odświeżyć w umyśle jakieś wspomnienie. — Zaraz!... zaraz!... Sam wymienię pańskie nazwisko!

Hrabia w podziwieniu, przypatrywał mu się nawzajem z ciekawością.

Był to mężczyzna, najwyżej lat czterdziestu, wysoki, doskonale zbudowany i zdradzający olbrzymią siłę muszkularną. Ruchy były swobodne, elastyczne. Czoło miał szerokie i wypukłe, cerę smagłą, w rysach regularnych wyraz energji i woli niezłomnej; piękne, duże, ciemne źrenice, potrafiły tak samo ciskać pioruny, jak patrzyć czule i łagodnie; nozdrza ruchome lwa przypominały; usta trochę naprzód wydane, purpurowe, ukazywały dwa rzędy zębów białych, jak kość słoniowa. Męstwo nieustraszone, prawość i szczerość, malowały się fizyonomji niezwykłej. Należała ona do tych twarzy, które raz w życiu poznawszy, zachowujemy na zawsze w pamięci.

I hrabia szukał po głowie, powtarzając w duchu:

— Gdziem ja widział tego człowieka?!

(Ciąg dalszy nastąpi).

# Z KRAJU I ZE ŚWIATA.

## Pogadanka.

*Lwów d. 8. Lutego 1888 r.*

Ponieważ w ostatnich dniach nie zaszło nic takiego, coby na szczególniejszą uwagę zasługiwało, przeto miasto pisać o rzeczach nie mających dla kół szerszych większego znaczenia, przytoczę na tem miejscu uwagi lekarza warszawskiego Dr. O. B. Bujwida, który metodą Pasteura leczy wściekliznę pouczające nas w formie przystępnej, w jaki sposób unikamy zarażenia. Sądzimy, że dla czytelników naszych będzie to rzecz bardzo ciekawa, a zarazem pożyteczna. Oto co wzmiankowy lekarz pisze:

„Ostatnich parę dziesiątków lat przyniosło niezaprzeczone zdobycze na polu znajomości przyczyn chorób zaraźliwych. Wiemy teraz, co jest istotą większej części chorób zakaźnych, znamy owe drobne kuleczki i laseczki zwane bakterjami, znamy czynniki, które pobudzają je do życia lub działają na nie zabójczo.

Poznaliśmy drobne zarazki, właściwe tyfusowi, suchotom, cholerze, karbunkułowi, róży, nosaciźnie, malarji — domyślamy się zaś, że ospa, odra, szkarlatyna, wścieklizna i inne choroby zakaźne zależą również od podobnych istotek.

Wiemy teraz, że choroby wymienione nie mogą powstać w organizmie z niczego; ażeby ktoś dostał tyfusu, potrzeba dostania się tyfusowej bakterji do kanału pokarmowego; ażeby dostać suchot — bakterje, suchotom właściwe, muszą się dostać do płuc; ażeby zachorować na karbunkuł, trzeba zetknięcia się ranki lub draśnięcia ciała za pomocą przedmiotu, zanieczyszczonego bakterjami karbunkułowemi; wścieklizna powstanie, jeśli jad, w ślinie kąsającego zwierzęcia zawarty, przeniknie przez ranę do krwi.

Jeżeli więc ktoś powie: A. dostał tyfusu z przeziębienia, B. zachorowała na różę z przestrachu — według tego, cośmy dotąd powiedzieli twierdzenia te nie są słuszne?

Tak, ale z zastrzeżeniami.

Choroba rzadko napada ludzi, nie ulegających wpływom atmosferycznym lub klimatycznym, oraz zachowujących równowagę fizyczną i umysłową. Skutkiem tego człowiek staje się skłonniejszym do zarażenia tyfusem lub inną chorobą, gdy ulegnie zaziębieniu, nadmiernej pracy, przestrachowi i t. p. Dzieje się to dlatego, że ustrój, przez czynniki powyższe osłabiony, staje się wrażliwszym na zarażenie — bakterje, trafiając na taki, pozbawiony odporności grunt, opanowują go i niszczą.

Wyprowadzić ztąd możemy wniosek, że, zmniejszając wrażliwość ciała przez hartowanie takowego, stajemy się bardziej odpornymi względem chorób zaraźliwych.

Woda, ziemia, powietrze a osobliwie przedmioty i pozostałości po chorych i zmarłych na choroby zaraźliwe mogą zawierać różne zarazki. Każdy z tych zarazków posiada jednak właściwe, a często jedyne ośrodki, w których zamieszkuje.

Brakterje cholery i tyfusu oraz zarazki malarji, znajdujące się w wodzie do picia, mogą spowodować właściwe im choroby. A więc, ażeby podczas epidemji tyfusu lub cholery unikać takowych, nie należy używać podejrzanej lub nieczystej wody. Ponieważ zaś gotowanie niszczy te zarazki, jak również prawie wszystkie inne, można używać każdą wodę, jeżeli się ją przegotuje, bez szkody.

Za pośrednictwem powietrza nie można zarazić się temi chorobami i dlatego też tej drogi obawiać się nie należy.

Przeciwnie, suchoty zależą od bakteryj, które mogą znajdować się w powietrzu. A zatem wydzieliny chorych na suchoty winny ulegać zniszczeniu, ażeby, po wyschnięciu, nie mogły w postaci kurzu dostać się do płuc.

W ostatnich czasach przekonano się, że szkarlatyna może się udzielać z mlekiem krów. Nie należy więc używać bez przegotowania mleka, które pochodzi z nieznanej lub niedość troskliwie strzeżonej obory. Przegotowanie mleka niszczy zarazek

Chirurgja postępy swoje zawdzięcza w znacznej części temu, że ściśle przestrzega prawideł antyseptyki, t. j. unika przedostania się zarazków chorobowych do ran. Wiadomo bowiem, że bardzo nawet obszerne rany goją się szczęśliwie, gdy zostaną czysto opatrzone W tym to celu każdy, mający do czynienia z raną, powinien obmyć ręce środkiem desynfekcyjnym lub przynajmniej czystą, gotowaną wodą, do opatrunku użyć materjału oczyszczonego i nie dotykać nieoczyszczonemi należycie narzędziami. Ropienie ran najczęściej jest jedynie wynikiem złego, nieczystego opatrunku.

Gdy zarazek dostał się do ustroju człowieka, natenczas położenie znacznie się utrudnia. Całem zadaniem nowszej medycyny jest właśnie postawić organizm w możności bronienia się przed napaścią. Tkanki ustroju pracują wtedy nad zwycięźeniem nieprzyjaciela i drogi, jakiemi dążą do tego celu, są niezmiernie ciekawe, a w części obecnie już poznane.

Jest wiadomem, iż krew zawiera w sobie drobne kulki, zwane białemi ciałkami Od niedawna spostrzeżono, że niektóre z owych białych ciałek posiadają własność pochłaniania bakteryj i w ten sposób czynią je nieszkodliwemi. Im więcej ustrój posiada takich, zdolnych do walki białych ciałek, tem łatwiej zwycięża chorobę.

Działanie szczepień ochronnych polega na tem, że stopniowo przyzwyczaja się owe białe ciałka do walki. Szczepiąc tedy krowiankę która jest słabszą postacią ospy, wprawiamy niejako białe ciałka do walki z silniejszym zarazkiem ospy naturalnej.

Toż samo dzieje się jednak siłami natury. Po największej części, kto raz przebył zaraźliwą chorobę, tego ustrój pozostaje na zawsze lub na czas pewien zabezpieczonym od ponownego zachorowania, gdyż białe ciałka krwi i inne tkanki ustroju, przyzwyczajone będąc do walki z zarazkiem choroby, zwyciężają go z łatwością, gdy się ponownie spotkają.

W ten też sposób tłumaczymy samoistne leczenie się rozmaitych chorób zaraźliwych. Tyfus, suchoty i inne choroby zaraźliwe leczą się w skutek tego, że białe ciałka krwi usuwają stopniowo zarazki tych chorób z ustroju, niemi dotkniętego

Krótkie i luźne uwagi powyższe miały na celu wskazanie pożytku, jaki płynie dla nauki lekarskiej z nauk przyrodniczych oraz ścisłych spostrzeżeń, jakich nasze czasy coraz więcej dostarczają. Wobec tegoczesnych wyników „badania gabinetowe", nieraz lekceważone, stają się niezbędnemi dla tych, co nie chcą pozostawać po za postępem nauki"

*p.*

# PORADNIK DOMOWY.

### Wzmocnienie bibuły używanej do cedzenia.

Zwilżając zwyczajną bibułę kwasem saletrzanym i bezzwłocznie spłukując kwas w większej ilości wody, otrzymuje się bibułę, co najmniej dziesięć razy mocniejszą, niż bibuła zwyczajna; przepuszczalność bibuły przy tej operacyi zmiejsza się, ale tak mało, że tego w rachubę brać nie można. Ten rodzaj bibuły oddaje duże usługi przy posługiwaniu się lejkami z długiemi kręconemi szyjkami, gdyż tutaj bibuła pęka bardzo często wskutek powiększonego na nią ciśnienia z zewnątrz, a tworzącej się próżni od spodu. Bibuła, poddana tej operacyi, nie zatrzymuje azotu, lecz jedynie nieco się kurczy i skupia, przy spaleniu zaś daje mniej popiołu. Krążek bibuły, mający uprzednio 11,5 centymetrów średnicy, po otrzymaniu kwasu redukuje się do 10,4 centym.

### Usuwanie „zamrozu" z szyb okiennych.

Przy silnym mrozie woda, znajdująca się zawsze w obfitości w mieszkaniach, zamarza na szybach i tworzy nieraz matową, białą powłokę, przepuszczającą mniej światła. W chwili obecnej jest to kwestja na czasie, z tego więc powodu przypominamy czytelnikom o sposobach pozbywania się tej nieproszonej ozdoby. Ponieważ chodzi tu o pochłanianie wody, używamy zatem środków, odznaczających się silnem do niej powinowactwem. Do takich środków przedewszystkiem należy kwas siarczany, witryolejem zwany, który, w małych miseczkach (niemetalowych) ustawiamy między oknami. Ten sam cel osiągnąć możemy, przez ustawienie w miseczkach szklannych lub fajansowych chlorku cynku (*zincum chloratum*) chlorku wapnia (*calcaria chlorata*), dobrze przepalonego wapna, potasu gryzącego (*kali hyhricum*), a wreszcie i zwykłego węglanu potasu (*kali carbonicum*). Ponieważ powyższe substancye po pochłonięciu wody powiększają swą objętość, należy zatem nie napełniać niemi całej miseczki, ale tylko połowę lub nawet jej czwartą część.

## Zadanie konikowe.

*(Ułożyła pani Marja Bernacka z Krakowa.)*

| | | | | | | | | | | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| | ten | bym | dno | ba | szczy | jąć | o | skał | tych | błę | świa | ży | brze | ty | |
| chciał | mie | ni | ty | ob | krąg | z | ałp | te | bjąć | tych | gi | ki | ta | cia | wód |
| | że | wi | nie | wy | kra | prze | siń | to | śli | rze | z. | ja | tych | przy | |
| | | zie | bo | dzie | ski | pię | ków | stwo | kra | roz | szczę | i | głos | | |
| | | wszę | cu | świt | w | bo | M. | B | ja | wy | wy | wię | ci | | |
| | | wo | je | w mem | cu | przed | się | knę | wszę | żem | ci | wy | dzi | | |
| | | ser | pię | sło | mo | stko | da | szczę | do | dźwię | dzie | snąć | mó | | |
| | | | je | wszy | stko | śli | | | jak | bom | ta | pier | | | |
| | | | | kne | mo | | | | | mych | świat | | | | |
| | | | | wszy | wy | | | | | bra | si | | | | |

## Zadanie królewskie.

*(pana St. Falis·ewskiego z Biecza.)*

| | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|
| | | bir | ni | czem | | |
| | sy | czem | ni | ty | knu | |
| lecz | tur | les | nych | i | to | ból |
| król | na | tor | cie | ty | do | lów |
| | ro | duch | tru | pie | bo | |
| | | du | za | ro | | |

## Zadanie głoskowe.

*(Ułożyła p. Helena Lizbauer ze Lwowa).*

| | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|
| * | | | | | † |
| | * | | | † | |
| | | * | † | | |
| | | † | * | | |
| | † | | | * | |
| † | | | | | * |
| | † | | | * | |
| | | † | * | | |
| | | * | † | | |
| | * | | | † | |
| * | | | | | † |
| | * | | | † | |
| | | * | † | | |
| | | † | * | | |
| | † | | | * | |
| † | | | | | * |

a, e, e, e, za, kwiat, mar, mur, żak, kra, ka, the, la, kad, kto, ron, sze, zy, be, czy, nie, raz, paw, pe, si, koc, o, o, o, on, bi, me, wa, i, ry, wa, goe, la, wa, wa, ra, na, na

Jeżli z podanych zgłosek wpiszemy po jednej literze w każde pole, natenczas utworzymy wyrazy, które będą oznaczały: poetę, orkiestrę, ptaka, chłopca, zabawę, wieszczkę, boginie, zaimek, imię kobiece, kraj, przykrycie, zaimek, pytajnik, okres, część domu, przysłówek, miasto greckie, utwory muzyczne, naczynia, zaimek, część roślin i poemat.

Po wpisaniu wyrazów utworzy linja gwiazdkowa nowelistę, linja krzyżykowa nowelistkę.

## Szarady.

*(Ułożył p. St. Polaczek z Rudawy.)*

I.

Z czterech części się składa, lecz słowo, nie zdanie,
Pierwszą z trzeciem ma zwykle każde twe ubranie,
Drugie z trzeciem, gdy mówi ktoś, to echo niesie,
Trzecie z czwartem zwierzęta, które żyją w lesie.
Drugie z czwartem kadzidło i balsam zawiera,
Całe winien mieć każdy, kto zawód obiera.

II.

Pierwsze z trzeciem krzew mały, lecz broń ma nie lada,
Przykrość może ci sprawić, choć nigdy nie gada.
Drugie z trzeciem zaś mile wpada ci po ucha,
Starzec, dziecię, niewiasta, chętnie tego słucha.
Lecz całe znoś odważnie, z czasem miną troski,
Będziesz potem szczęśliwy, żeś dźwigał krzyż boski.

Kto powyższe zagadki pierwszy rozwiąże, otrzyma powieść **Grimma: „Tajemnice pałaców carskich za panowania Mikołaja I".**

### Rozwiązanie łamigłówki w Nr. 4.

| | | | | | | | | | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| | | | | | | | W | | | | | | | |
| | | | | | | c | A | r | | | | | | |
| | | | | | w | a | L | e | c | | | | | |
| | | | | l | i | n | E | u | s | z | | | | |
| | | | s | z | m | a | R | a | g | d | y | | | |
| | | s | i | e | n | k | I | e | w | i | c | z | | |
| | p | o | r | t | u | g | A | l | c | z | y | c | y | |
| W | A | L | E | R | I | A | N | K | A | L | I | N | K | A |
| | j | u | l | j | a | n | K | l | a | c | z | k | o | |
| | | u | r | i | e | l | A | k | o | s | t | a | | |
| | | | f | i | l | o | L | o | g | i | a | | | |
| | | | | s | z | p | I | l | k | a | | | | |
| | | | | | s | a | N | o | k | | | | | |
| | | | | | | o | K | o | | | | | | |
| | | | | | | | A | | | | | | | |

Litery czytane z góry na dół i w poprzek dają: **Walerjan Kalinka.**

**Rozwiązania** powyższej łamigłówki nikt nie nadesłał.



Z drukarni nar. W. Manieckiego: Zarządca: Walenty Hodak. Wydawca: Józef Rogosz Odpowiedzialny redaktor Teofil Szumski.